

GUSTAW DROZ.

NOWELLE

Przełożył

M. KŁOS.

TREŚĆ:

Z dziennika młodej kobiety. —
Po weselu. — Głucha wrzawa. —
Moja żona wybiera się na bal.

W RZESZOWIE

Nakładem Księgarni J. A. Pelara (H. Czerny)

1888.

GUSTAW DROZ.

NOWELLE

Przełożył

M. KŁOS.

TREŚĆ:

Z dziennika młodej kobiety. —
Po weselu. — Głucha wrzawa. —
Moja żona wybiera się na bal.

W RZESZOWIE

Nakładem Księgarni J. A. Pelara (H. Czerny)

1888.



A-23620

27370

Z Drukarni J. A. Pelara (H. Czerny) w Rzeszowie.

Z dziennika młodej kobiety.



Gdy pomyślę, żem cię już miała zamiar wrzucić w ogień, mój skarbie kochany, musiałam być nierozsądną. Komuż mogłabym się teraz zwierzyć? Komuż miałabym opowiedzieć owe tysiączne drobnostki, z których szydzi świat cały, gdybym cię nie miała, mój drogi, mądry dzieńniczku.

Dzisiaj wieczór np. byłam sama przy stole. Feliks jadł obiad po za domem. Komużbym się miała przyznać, że jak dziecko płakałam na widok baraniny, przyrządzonej jemu do smaku, i dużego noża, który zwykle leży przy jego talerzu? Komuż mam to powiedzieć, że, by się nieco pocieszyć, piłam z jego kubka, który mi jest tak miłym?

Gdybym to chciała opowiadać, w oczy parskniętoby mi śmiechem. Nawet ojciec Cypryan, którego serce przepełnione ła-

godnością i delikatnem uczuciem, powiedziała:

— Daj pokój temu, kochane dziecko, daj pokój!

Tak, tak, znam O. Cypryana. Ty zaś, mój kochany dzienniku, słuchasz mię ilekroć przyjdę; a gdy łzę uronię, to połyskasz ją przyjaźnie i zachowujesz jej ślad, jak mąż z sercem. Za to też kocham cię także.

A ponieważ teraz zaprosiliśmy się *tête-à-tête*, porozmawiajmy z sobą. Nie weźmiesz mi tego za złe, moja perło, że piszę ołówkiem. Widzisz, że siedzę tak wygodnie w mem karle — a boję się plam atramentowych... Na kominku trzaska ogień; na ulicy cicho. Zapomnijmy, że Feliks wróci dopiero koło północy i zajmijmy się nieco przeszłością.

O tych pierwszych miesiącach ukochanej przeszłości nie mogę pomyśleć bez śmiechu na twarzy lub łez w oku.

Byliśmy głupcami! Było to uroczem...

Pozwoliłabym sobie powiedzieć, że jest pewien sposób nauki pływania, który nie

jest najgorszym. Polega on na tem, że przyszłego pływaka wrzuca się po prostu do wody i poleca się go Panu Bogu. Zapewniają mię, że dotyczący już po pierwszej takiej lekcyi trzyma się na powierzchni wody.

Widzę teraz, że uczą nas prawie tą samą metodą zostawać żoną. Czy małżeństwo jest szczęściem, czy nieszczęściem, o tem dużo można mówić; ale zaiste jest ono burzą, orkanem, czemś niesłychanem i gwałtownie porywającym.

Z dnia na dzień wszystko zmienia swą postać i barwę bez żadnego przejścia. Starring ubrany kawaler z krawatem i rękawiczkami, zbliża się nagle do nas w szlafroku. Co było zakazanem, teraz jest dozwolonem; księga ustaw zmieniła swoją fizyognomią, a nawet słowa nabierają znaczenia, jakiego przedtem nigdy nie miały itd. Przez to jednak nie chcę powiedzieć, ażeby to wszystko dobrze zebrane, straszne było. Kobieta, która ma głowę i serce na swoim miejscu, wytrzyma nawal tych nowych stósunków i nie umrze

z niego; ale i najsilniejsze natury tak są tem odurzone, że otwierają nos i usta i pośród tej zupełnie obcej sytuacji przybierają taką pozycyą, jak biedny łakomy chłopiec w wielkich magazynach delikatesów. Jeszcze nie śmie próbować wszystkich tych przysmaków, chociaż się go do nich zaprasza; mieliby nań apetyt, ale cały ów wspaniały owoc podają im dopiero od niedawna, tak że przebija w nim jeszcze coś z niedojrzałego i zakazanego owocu. Zbliżamy się, zginamy się przy nim, ale nie śniemy jeszcze ukąsić.

Wreszcie cóż to szkodzi?

Cóżby było z naszych wspomnień, gdybyśmy wchodziły do małżeństwa jak do młyna, gdybyśmy nie zadrżały przy zapukaniu do drzwi? Ach, wspomnienie jest czemś tak uroczem, iż nieraz możnaby przyszłość ozdobić szatami przeszłości.

Pamiętam to jeszcze, tak jak dzisiaj, było to dnia drugiego po wielkiem zdarzeniu. Weszłam do jego pokoju, nie przypominam już sobie z jakiego powodu, — może tylko dlatego, by tem wejściem o-

znajmiej moją godność jako żony... Tak pragnie się tego... Gdy się przychodzi z kościoła, coby się za to dało, by wyglądać „dawno zamężną”! Wdziewa się czepeczki ze wstążeczkami; kaszmiry starszych mężatek; mówi się „u mnie w domu” albo „u nas” (co za urocze słowa!) a gdy się to wymówiło, przygryzamy wargi, by się nie śmiać z samych siebie. A jak to pięknie brzmi: „mój mąż”, i „moja pokojówka”! Ach, pierwszy obiad, na którym się zapomina o rosole! Wszystko to jest wzruszającym, i jak początkowo niewygodnie się czujemy w tych nowych sukniach, tak mimo to dumne z tego jesteśmy.

Weszłam więc do pokoju mego męża, który siedział właśnie przed zwierciadłem w bardzo lekkim odzieniu i golił się w bardzo prozaiczny sposób.

— Ach, wybacz, kochane dziecko, rzekł z uśmiechem i podniósł znowu pędzel, pokryty zupełnie białą pianą — pozwolisz, że się będę golił dalej? Czy sobie czego życzysz?

— Przeciwnie, chciałam zaglądnąć, czy ci czego nie potrzeba... I w wielkim kłopotcie (gdyż bałam się być nieskromną i nie wiedziałam, czy w ten sposób można wejść do pokoju męża) dodałam naiwnie:

— U twych koszul są przecież guziki, nieprawda?

— Patrzcie, ożeniłem się z małą uroczą gospodynią! Ale moja duszko, nie troszcz się o takie drobnostki, polecę twojej pokojówce, by należycie skontrolowała moje guziki.

Zarumieniłam się. Obawiałam się, by mnie nie uważał za zbyt prostoduszną. Tymczasem rozrabiał mydło pędzlem na pianę. Chciałam odejść, ale byłam tak bardzo zainteresowaną tym nowym widokiem męża, że nie miałam do tego odwagi. Jego włosy, nosi krótkie włosy, bo regulamin nakazuje to ludziom wojskowym — jego włosy spadały dość gładko, a za uchem miał wolne miejsce, które wydawało się bardzo białem i delikatnem. Zaraz przyszło mi na myśl, że gdybym kiedy nabrała odwagi, w to miejsce całowałabym go najczęściej..

Naraz się powstrzymał. Zdało mi się widzieć, że się bał robić komiczne wrażenie swą namydloną twarzą, ale nie miał słuszności. Drżałam z dumy, że się znajduję w pobliżu męża, podczas tak czysto męskiej czynności. Pragnęłabym, by się golił dalej bez przeszkody, chciałam widzieć, jakby się zaczynał golić nie naruszając swych wąsów, a potem jakby czesał włosy i szczotkował głowę dwoma wielkimi, okrągłymi szczotkami, które widziałam tam na stole, i do czego służyły wszystkie te małe narzędzia, które szeregiem leżały na marmurowej płycie: nożyczki, obcęży, flaszeczki ze srebrnymi korkami i t. d. Bawiłoby mię, gdyby podczas rozmowy zajmował się swymi palcami i paznokciami.

— Moje dziecko — rzekł z uśmiechem, czemuż się mi tak przyglądasz?

Natychmiast spuściłam oczy. Czułam jak mi występowały na twarz rumieńce. Było mi bardzo niemiło w tem nowem otoczeniu, chociaż mi sprawiało wielką przyjemność. Nie wiedziałam co mam od-

powiedzieć i mechanicznie zmaczałam koniec palca w małej porcelanowej czaroczce, w której pieniało się mydło.

— Co ci brakuje me serce? — rzekł, zbliżając swą twarz do mojej. — Czym ci wyrządził jaką przykrość?

Nie wiem, jak ta myśl przeleciała mi przez głowę; ale szybko wyciągnęłam rękę z miseczki i dotknęłam nią nosa mego męża, walając go pianą. Roześmiał się na głos, a ja również; ale przez jaką sekundę byłam w obawie, że się pogniewa.

— Ach, tak traktujesz kapitana! zawołał, odpokutujesz to mała figlarko. I ze zmaczanym pędzlem gonił mnie po pokoju. Biegałam około stołu, zasłaniałam się krzesłami.

Schwycił mnie wreszcie. Walka była straszną. Nic nie pomógł mój krzyk ni prośba. Straszny pędzel z matematyczną dokładnością spadł mi na twarz.

Dzięki Bogu, mój Feliks uczynił to łagodnie, zadowolnił się zrobieniem białej plamki na brodzie i patetycznem wykrzyknięciem: Kawalerya pomszczona!

Teraz chwyciłam znowu pędzel i rzekłam bardzo grzecznie:

— Mężulku, pozwól mi namydlić sobie brodę!

Ach, miałam chęć!... Zamiast odpowiedzi zwrócił się ku mnie twarzą. Gdy widział, że musiałam stanąć na końcach palców i oprzeć się na jego ramieniu, ukląkł przedemną i oddał mi swoją głowę na łaskę i niełaskę.

Schylałam więc końcem palców jego twarz na prawo, na lewo, na przód, na tył i wśród głośnego śmiechu mydliłam go tak, że piana wokoło leciała. Ach, jaką rozkosz mi to sprawiało widzieć mego żołnierza tak posłusznym, jakby był dzieckiem! Nie wiem, cobym dała za to, gdyby w tej chwili miał na sobie szablę i ostrogi. Nieszczęście chciało, że był jeszcze w pantoflach.

Mydliłam mu czoło, nos, on zamknął oczy, objął mię oboma rękami i rzekł:

— Nie żenuj się, żonko, nie żenuj, tylko mi ust nie mydlij, to wszystko, o co proszę.

Dziwne to! w tej chwili owładnęło mną ciekawe uczucie. Smutek ustał nagle wsty-

dziłam się, żem się bawiła z mężem jak dziecko z lalką.

— Czym naiwna! — rzekłam sobie, a on, jaki on dobry!

Rzuciłam pędzel na ziemię. Czułam, jak się mi oczy załzawiły — i słowo daję, uniesiona nagłą czułością, schyliłam się ku niemu i pocałowałam go w barki, gdyż to tylko miejsce było jeszcze wolne. Jego ucho było tak blisko mnie, że wargi moje same niemal przez się poruszały się. Szepnęłam mu cichutko: „nie gniewaj się... kochany... mężu!” A ponieważ wzruszenie i żal mną zawładnęły, dodałam: „Kocham cię, mężulku, kocham cię.”

— Kochane dziecię — rzekł, zrywając się nagle. Głos jego drżał. Ach, jaka to wzruszająca chwila! Na nieszczęście, ach tak! na wielkie nieszczęście, nie mógł swej namydlonej twarzy zbliżyć, by mię pocałować. — Czekaj, czekaj, ma duszko, — rzekł, biegnąc do miednicy, — czekaj chwilkę...

Mój Boże! To obmywanie się zdało mi się trwać wieki!...



PO WESELU.
WSPOMNIENIA OFICERA.



Dzięki patryarchalnym zwyczajom, jakie dozwolone są na wsi, bardzo wczesnie rozszło się towarzystwo. Niemal każdy przystąpił do mnie i do mej słodkiej żonki, by uścisnąć dłoń naszą; jedni z szelmowskim, inni z głupkowskim uśmiechem; ci z powagą urzędową, która wyglądała jak dowód obrazy, a owi z niesmaczną poufałością, która była nawet niedyskretną.

Jenerał S. i prefekt, obaj starzy przyjaciele domowi, zatrzymali się przy zielonym stoliku nieco dłużej niż reszta; a mówiąc szczerze, mimo wielkiej sympatii dla obu tych panów, złorzeczyłem im w duchu. Tak drażliwym byłem tego wieczoru.

Działo się to — wnet byłbym zapomniał powiedzieć — w sam dzień mojego wesela. Byłem w rzeczy samej nieco zmęczony. Od południa uśmiechałem się bez przerwy. Nadto dzielny proboszcz wiejski, który dopełniał aktu ślubnego, porównał mię, w swej zresztą pięknej mowie, ze świętym Józefem; a porównania takie mają w sobie coś niesmacznego, zwłaszcza dla rotmistrza. Ze swej strony zaś mer, który był tak grzeczny, że przyniósł swe olbrzymie księgi do zamku, na widok prefekta nie mógł się oprzeć pokusie wzniesienia toastu na cześć cesarza. Przy wyjściu z kościoła wystrzelono mi tuż nad uchem z kilku strzelb i wręczono olbrzymi bukiet. Wreszcie, mówiąc w sekrecie, od ósmej godziny rano miałem na sobie kamasze, które były nieco za szczupłe; a w chwili, gdy się zaczyna moje opowiadanie, mogło już być po północy.

Rozmawiałem z każdym, tylko nie z moją uroczą żonką, od której jak się zdawało, umyślnie mię odsuwano. Raz tylko, gdyśmy szli przez przedpokój, ukradkiem u-

ścisnąłem jej rękę. A i ta drobnostka wywołała u teściowej octem i solą zaprawione spojrzenie, które mi przypomniało żelazną rzeczywistość. Jeśliś ty, szanowny czytelniku, przebył już przypadkowo ten dzień pełen znaczenia, to zgodzisz się ze mną, że nigdy w życiu nie jest się tak czułym i drażliwym. Cóż odpowiesz stryjom, którzy cię ściskają; ciociom, które czepiają się twego krawatu i płaczą przy tobie; wszystkim rozpromienionym obliczom, które się gromadzą wokoło ciebie; wszystkim tym oczom, które cię biorą na cel przez godzin dwanaście; wszystkim tym objawom czułości, których sobie wcale nie życzyłeś, a które przecież wymagają serdecznego wywzajemnienia się? Na schyłku takiego dnia poczyną serce naprawdę słabnąć. Mówi się wtedy do siebie: czy się to raz skończy? czy jest jeszcze gdzie łza do osuszenia, komplement do przyjęcia, szczerą dłoń do uścisku? Czy wszyscy zadowoleni? Czy dość się napatrzono młodemu panu? Czy widziano się i słyszano podostatkiem? Mo-

że kto chce jeszcze czego? Czy mogę już myśleć o swem szczęściu, o kochanej, czulej żonce, która... czeka na mnie z twarzą ukrytą w poduszce?... Która czeka na mnie! — To jak błysk przeleci przez głowę, nie myślano wcale o tem: przez cały dzień pozostała w ukryciu ta świetna strona uroczystości... Ale godzina się zbliża. W tej chwili rozwiązują się może z lekkim szelestem jedwabne tasiemki jej sukni weselnej; rumieni się; jest wzruszona; nie śmie spojrzeć w zwierciadło z obawy, by nie ujrzeć swego zmieszania. Ciotka i matka, kuzynka i serdeczna przyjaciółka otaczają ją z wesołym uśmiechem; prześcigują się w rozpięciu taśm, zdjęciu gałązek mirtowych z włosów i w odebraniu ostatniego całusa.

Dobrze! W tem znajdują znowu uszczęśliwienie w płaczu; osuszają sobie łzy, ściskają się, matka szepce córce do ucha słów kilka, mówi o przyszłości, o jakiejś ofierze, o świętych obowiązkach, o potrzebie, o posłuszeństwie, i w te proste, ale dobrze obmyślane słowa, poddaje coś, co

jak nadzieja liczy na pomoc nieba. na pomyślne zjawienie się gołąbka, który mógł przecie być ukryty w wazonkach.

Biedne dziecko z tego wszystkiego rozumie nie wiele. Czuje tylko, że się stanie coś niezwykłego, że jej narzeczony, gdyż nawet w myśli nie śmie go nazwać inaczej, przybędzie jako zwycięzca, by zwrócić do niej cudowne słowa, słowa, których wyczekiwanie wystarczy już, by zadrżała z niecierpliwości, a także ze strachu. Słowa!... Czy tylko słowa? Biedne dziecko nie mówi ani słowa; drży, płacze, trzęsie się jak kura na grzędzie. Ostatnie napomnienia matki, ostatnie pocałunki rodziny huczą jej w uszach, ale napróżno się trudzi, by zrozumieć je. Jej rozum, gdzie jej biedny rozum? Nie wie tego, wie tylko tyle, że go już nie ma. Jak młody żołnierz, który z początkiem pierwszej walki otrzymał rozkaz, by nie zbił szkła od zegarka, nie jest w stanie takich rad słuchać, a tem mniej rozumieć. Trzask drobnej broni odbiera jej wszelkie myśli. Może myśli w tej krytycznej chwili o spokojnej ciszy



wiejskiej, o kurku na kościele; może nie-
oznaczona woń prochu wnika do jej drżą-
cego noska i każe pod białą koszulką bić
sercu raczej z odwagi aniżeli z obawy.
Kto wie: w skórze młodego rekruta był
już nieraz bohater wojenny.

— Kapitanie — rzekłem sobie — ileż
rozkoszy jest w tem zamieszaniu, bo ona cię
kocha! Pamiętasz ty jeszcze ów pocałunek,
który pozwoliła sobie ukraść, gdy przy-
byliście z kazania opata, który kazał tak
po mistrzowsku? A te uściski rąk, te ta-
jemne spojrzenia... Szczęśliwy kapitanie! O-
cean miłości cię zaleje; oczekuje cię, zwodzi-
cielu, Don Juanie, bożyszcze! — I gryzłem
ze złości swe wąsy, jak szalony zdjąłem rę-
kawiczki, by je zaraz wdziać na nowo, cho-
dziłem zamaszyście po małym saloni-
ku i ustawiłem odpowiednio zegar, zdobią-
cy kominek... Krótko mówiąc, nie mia-
łem nigdzie spokoju. Ach, znałem już
to uczucie zdawna, z owych dni, gdy
zapowiedziany był szturm na Malakowa!
Nagle zwrócił się ku mnie generał,

który się jeszcze nie załatwił z przeklętym stolikiem i rzekł:

— Co ci brakuje, panie Edwardzie?... Panie prefekcie, pan dajesz...

— No, panie jenerale, — odrzekłem nieco dotknięty, — nie chcę kłamać... Jestem nieco nerwowy i...

— Król, dama i cztery aduty. Kochany przyjacielu, nie masz dzisiaj szczęścia — rzekł jenerał do prefekta. Następnie nie bez trudu wygładził białą kamizelkę na okrągłym tułowi i schował do niej kilka luidorów, które leżały na stole. Potem, mnie sobie przypominając: „W rzeczy samej, mój biedny Edwardzie, myślisz może dotrzymać nam towarzystwa? Zresztą już późno, a mamy dobre dwie godziny drogi do C. Zaiste, to my ostatni!...

Później chwycił mię za ramię i szepnął do ucha:

— Wiesz co, kochany panie rotmistrzu, teraz już wielki czas, abyś dowiódł, że należysz do dwudziestego pułku? Do kroćset fur beczek! — I wybuchnął głośnym śmiechem.

— Ha, ha, panie jenerale!... Dobranoc, panie jenerale! W tak ważnych dniach jest się nader głupim.

Mój przełożony oddalił się. Widzę jeszcze przed sobą jego grubą szyję, która ponad wojskowym kołnierzem tworzyła gruby wałek mięsa! Słyszałem jak siadł do powozu. Śmiał się jeszcze ciągle... Mogłem go być wypoliczkować.

— Wreszcie! rzekłem do siebie, wreszcie! Mechanicznie spojrzałem w lustro; byłem czerwony jak róża, a moje kamaszki, wstydę się do tego przyznać, żenowały mnie nadzwyczaj. Byłem wściekły, że ta głupia rzecz w takiej chwili musiała zwrócić moją uwagę. Ale cóż miałem robić? Postanowiłem sobie być szczerym i dlatego opowiem wam całą prawdę. W tej chwili wybiła pierwsza i weszła moja teściowa. Jej oczy były zaczerwienione, zdjęła rękawiczki i palcami targała chustkę, która jak się zdało, była nadzwyczaj mokrą.

Pierwszy mój ruch na jej widok był ruchem niecierpliwości. Rzekłem sobie:

— Ta mi zabierze znowu najmniej dwadzieścia minut.

W samej rzeczy pani C. padła na kozetkę, chwyciła moją rękę i wybuchła płaczem. I tak pośród łkania mówiła: „Edwardzie, mój przyjacielu... Edwardzie... mój synu!” — Czułem, że się nie znajdę na wysokości swego stanowiska. Kapitanie, mówiłem sobie, jedną łzę! Staraj się znaleźć jedną łzę! Możesz tylko wtedy z godnością wyjść z tego położenia, gdy dobiedziesz jednej łzy, albo, to znaczy: zgoda, panie zięciu! Te głupie słowa, nie wiem, skąd pochodzą, sądzę że z teatru Palais Royal, nie chciały mi już wyjść z głowy i czułem, że grozi wybuch bardzo niestosownej wesołości i że mi już igra na ustach.

— Uspokój się łaskawa pani, rzekłem, uspokój się!

— Ach Edwardzie, czyż mogę? Edwardzie, mój przyjacielu, wybacz mi...

— Jakżebym nie miał łaskawa pani...

Czułem, że to „łaskawa pani” brzmiało nieco za chłodno, ale obawiałem się, by nie wydało się pani C. za staro, gdybym

jej mówił „moja matko”, wiedziałem, że była nieco próżną na tym punkcie.

— O, nie wątpię o twojej miłości! Idź, kochany przyjacielu, idź! Zapomnij o moich łzach, a uszczęśliw dobre dziecko! Nieprawda? O pewno, ty ją uszczęśliwisz! Co do mnie, to się nie obawiaj niczego: jestem silną, wyrozumiałą.

Nic nie ma tak nieżnośnego jak wzruszenie umysłu, którego się nie podziela.

— Moja matko, kochana matko, wybąkałem wreszcie, gdyż wmówiłem w siebie, że to sprawi efekt. Potem zbliżyłem się do niej, pocałowałem ją i skrzywiłem twarzą mimowoli, gdyż wskutek łez zbyt były słone policzki mej teściowej.

* * *

Postanowiono, że pierwszy tydzień po ślubie przepędzić mamy w zamku pani C. Urządzono nam tam małe mieszkanko, obite jasno-niebieskim jedwabiem i nader świeże. Słowo świeże mogłoby tu uchodzić za niesmaczny dowcip, gdyż w rzeczy samej w tym malutkim raju było nie-

co świeżo, bo ściany restaurowano przed niedawnym czasem.

Jeden pokój był tu specjalnie dla mnie, i tu też udałem się, ucałowawszy serdecznie moją teściową. Olbrzymimi krokami biegłem po schodach na górę. Na fotelu przed kominkiem leżał mój ciemny szlafrok jedwabny, a obok pantofle... Nie mogłem się oprzeć tej pokusie i jak szalony zdjąłem kamaszki. Jakkolwiek jednak było, to serce moje było przepełnione miłością i tysiączne myśli w strasznym zamieszaniu przelatywały mi przez głowę. Zadawałem sobie kłam i starałem się ile możliwości zapatrywać przedmiotowo na swe stanowisko. Kapitanie, mówiłem sobie, chwila, która dla ciebie się zbliża, jest uroczystą! Od sposobu, w jaki przekroczysz próg swego małżeństwa, zależy twoje przyszłe szczęście. Założenie fundamentów pod budynek, zaprawdę to nie drobnostka. Pierwszy pocałunek męża — i poczułem wtedy jak dreszcz mię przeszedł po plecach, — jest niejako głównym aksjomatem, który służy za podstawę ca-

łej książce. Kapitanie bądź rozsądny. Tam obok, za ścianą, jest twoja jasnowłosa żona! Czuwa aż do twojego przybycia; jej ucho słucha uważnie, trwożnie podnosi głowę, słucha każdy twój ruch! ile razy zatrzeszczy posadzka, drży kochane serce. Podczas tych słów zdjąłem frak i rozwiązałem krawatę.

Twoje obejście przedstawia się jasno, mówiłem dalej, bądź namiętny ale z umiarkowaniem, spokojny ale gorący, dobry, łagodny i delikatny! Nagle wdziałem frak znowu. Wstydziłem się wejść do pokoju żony w szlafroku i nocnej toalecie. Czy nie znaczyłoby to: moje serce, jestem w domu, widzisz jak wygodnie się urządzam? Czyż to nie wyglądałoby, że chcę sobie rościć prawa, których jeszcze nie miałem? Wdziałem więc znowu frak, uzupełniłem starannie swą toaletę, zbliżyłem się do drzwi i skromnie zapukałem trzy razy. Och! przysięgam wam, drżałem cały, a serce biło mi tak gwałtownie, że cisnąłem rękę do piersi, by stłumić to bicie. W tem pukaniu było wszystko: ule-

głos i skromna prośba i delikatność. Sam święty Piotr, który wie, co to znaczy, kazać ludziom stać podedrzwiami, byłby się tem wzruszył i, jestem o tem mocno przekonany, odpowiedziałby: proszę kochany kapitanie! Ale ona, ona nie odpowiedziała nic, i po chwili trwożliwego oczekiwania zdecydowałem się zapukać powtórnie. Miałem ochotę powiedzieć wzruszonym głosem: to ja kochane dziecko, czy mogę wejść? — Ale czułem, że frazes ten wymagał pewnego sztucznego wykończenia, a obawiałem się zawodu. Z uśmiechem na ustach stałem, jakgdyby mię ona mogła widzieć i podkreślałem wąsy, które nieco uperfumowałem.

Niebawem usłyszałem cichy, zaledwie dosłyszalny kaszel, który zrobił na mnie wrażenie, jakby odpowiedź pozwalająca mi wejścia. Czyż to znowu nie dowodzi, ile posiadają kobiety owego delikatnego taktu, którego nam zupełnie brakuje? Czyż można było powabniej i dowcipniej odpowiedzieć: „chodź, czekam cię, mój przyjacielu!... mój mężu!...” Ten cichy

kaszel oznaczał niebo, które się przedemną otwierało. Przycisnąłem klamkę, drzwi cicho przesunęły się po miękkim dywanie. Znalazłem się u mojej żony. Miłe ciepło otoczyło mię zewsząd. Czułem nieoznaczoną woń róż, czy fiołków, lub Bóg wie czego, która przenikała pokój. Naokoło panował uroczy nieład, toaleta balowa była na szeslongu, dwie świece cicho paliły się pod różowymi umbrellkami na kominku, pomiędzy niezliczonymi drobiazgami. Obok niezupełnie świeżego bukietu kamelii widomą była flaszeczka z wodą melisową, radykalnym środkiem przeciw mdłościom i t. d. W tej drobnostce poznałem matczyną troskliwość mojej teściowej i czułem coś jakby wzruszenie. Zbliżyłem się do łóżka, gdzie się ułożyła właśnie Ludwika. Leżała w głębi łóżka, z twarzą zwróconą ku ścianie, a głowę ukrytą w poduszkach. Nieruchoma, z zamkniętymi oczyma, przedstawiała się śpiącą; ale żywe rumieńce na twarzy zdradzały kłamstwo. Przyznaję, że w tej chwili czułem większe zakłopotanie niż przed-

tem. Położyć się również bez ceremonii, to było mem niezaprzeczonem prawem, ale myśl ta zdawała mi się zbyt brutalną. Postanowiłem tutaj w pokorze prosić o gościnność; to było delikatnie, taktownie.

O wy, którzy przeżyliście ową pełną znaczenia godzinę, przejrzyjcie swoje wspomnienia i przypomnijcie sobie niemiłą, a przecież cenną chwilę, gdzie bez przygotowania ma się odegrać najtrudniejszą rolę; gdzie jest naszym zadaniem, przebiegłością, delikatną namową i zresztą Bóg wie czem jeszcze dojść do rzeczywistości, nie burząc marzeń i ideałów! Ach, a wszystko to z zupełnem pominięciem śmieszności, która ze wszystkich stron ci urąga!

Mój kochany Boże! Gdy o tem pomyślę, to jeszcze teraz występuje pot na moje czoło.

Przechyliłem się więc nieco nad łożem, szukałem w swej skali głosowej największych dźwięków, najdelikatniejszej modulacji i szepnąłem: „no, drogie dziecko? teraz?...”

W takich chwilach postępuje się tak

jak można. Nie znalazłem nic lepszego, chociaż starannie szukałem.

Żadnej odpowiedzi. A przecież wiedziałem dobrze, że nie spała. Przyznaję, że podwoiło się moje zakłopotanie. Mówiąc między nami, rachowałem na więcej zaufania i uległości. Oczekiwałem pierwszego wybuchu płaczu wskutek obawy i trwogi i na tem oparłem swoje zapatrywania. Ale to milczenie przejmowało mię zgrozą.

— Mocno spisz, kochane dziecko? A miałbym ci tyle opowiedzieć! Może pogadamy przez chwilkę?

Podczas tych słów dotknąłem jej ramion końcami palców. Widziałem, jak się wzdrygnęła nagle.

— Pozwól mi spać, rzekła z proszącą miną dziecka, jestem tak zmęczona.

— A dopiero ja, mój klejnociku, niemal upadam ze znużenia. Patrz, jeszcze jestem w stroju balowym i... nie mam gdzie głowy ułożyć... Przynajmniej tę tu poduszkę... Trzymałem jej dłonie w moich i całując je, ściskałem. Czy wielka byłaby to dla ciebie ofiara, użyczyć mężowi poduszki?

W tejże chwili zdawało mi się widzieć uśmiech na jej wargach. Niecierpliwie, chcąc się wydobyć z tego pokornego ułożenia, powstałem.

Zbliżyłem swoją głowę do jej, oddychałem wonią jej włosów i szeptałem jej w ucho:

— Kocham cię drogie dziecię; kocham cię, moja nadobna żonko. Czy nie wierzysz?

Zwróciła na mnie zapłakane oczy i wy-mówiła ze wzruszenia tylko urywane słowa a przytem była tak miłą, słabą i delikatną, że pozyskała mię sobie aż do szpiku kości.

— Ja... ja cię także kocham... Ależ pozwól mi spać... Byłoby to dobrze z twojej strony, gdybyś mi spać pozwolił.

Policzek zadany mi nie byłby mię bardziej upokorzył. Tak jest, byłem tęgim zawadyką, a przecież poczułem, iż się rumienię aż po uszy. Bardzo fałszywie osądziłem to miłe, słodkie i łagodne stworzenie. Wyszedłem ze stanowiska człowieka, który ma po za sobą wszelakie doświadczenie. Byłem tak nierozważnym

używać w rozmowie z tą dziewczyną duszą takich zwrotów, jakich już używałem w innych warunkach... Uważałem się za bardzo przebiegłego, skorom szukał w swojej przeszłości broni do zwalczania tego kochanego dziecięcia, które błagająco wyciągnęło ku mnie swe dłonie.

— Śpij, kochany aniołku; śpij bez obawy me serce! Idę już, idę. Śpij przyjemnie, a ja będę czuwać nad tobą.

Daję słowo uczciwości, że czułem coś, jakgdyby łzę w oku; równocześnie jednak czułem, jakgdyby nie złym był mój ostatni frazes. Przycisnąłem jej kołdrę i owinąłem ją jak dziecko. Jeszcze dotąd mam przed oczyma jej twarz rumianą, która ginęła niemal na wielkiej poduszce. Jej płowe włosy bujnie wypadały z miluchnego czepeczka. Lecz ręką trzymała kołdrę pod brodą, a na jej palcu zauważyłem nowy połyskujący pierścień ślubny, który jej dałem rano. Była cudowną; uroczą ptaszyną, która się ukryła w kupie wełny; pączek róży na śniegu.

Gdy się ułożyła tak wygodnie, schyliłem się i ucałowałem ją w czoło.

— Tak, — rzekłem z uśmiechem, — teraz jestem zadowolony. Dobrze ci, kochane dziecko?

Nie odpowiedziała nic; ale jej oczy spotkały się z moimi i wyczytałem w nich uśmiech, który zdawał się dziękować.

— Teraz, kochany rotmistrzu, — rzekłem sobie, — rozgość się wygodnie na krześle, a potem dobra noc!

Z temi słowy odszedłem do fotelu i usiadłem. Ale już po kilku minutach przypomniała mi niska temperatura sypialna, że ogień wygasł już oddawna, był to jeszcze kwiecień, a okna z pokoju wychodziły na Loarę — już po kilku minutach, powiadam, przypomniała mi niska temperatura o lekkości mej salonowej toalety. Czemuż zapomniałem swego szlafroka!

Szukałem przeto przynajmniej — jak żołnierz, który biwakuje — ile możliwości wygodnego ułożenia. Bez tego przekłętego zimna byłoby wszystko przeszło jako tako; ale tak marzłem kolosalnie w no-

gi a nie miałem nic pod ręką do ich przykrycia.

— Kapitanie, — rzekłem do siebie, — twa placówka nie do wytrzymania. Do rana okulejesz kompletnie.

Wreszcie spostrzegłem na szeszlongu... Niekiedy miewa się dziecięcą wstydlivość, ale w rzeczy samej nie ufałem sobie i czekałem dosyć długo, — walcząc z obawą nieośmieszenia się i z zimnem, które dokuczało coraz bardziej. Wreszcie, gdy słyshałem, że oddechy mej żony były równiejsze, przyszła mi z pomocą myśl, że zasnęła. Wyciągnąłem przeto rękę, chwyciłem jej suknię balową, która leżała na szeszlongu — ha, ta jedwabna materya sprawiała taki hałas, żeby zbudziła nieboszczyka w grobie — i z energią, jaką się ma wtedy, gdy jesteśmy doprowadzeni do ostateczności, owinąłem się suknią jakby kocykiem podróżnym. Następnie w napadzie mimowolnego sybarytyzmu chwyciłem mały mieszek, który wisiał na kominku i starałem się znowu rozniecić ogień.

— Hm, — rzekłem do siebie, celując

na spalone dREWienka i ostrożnie na nie dmuchając mieszkciem, — przynajmniej to jest jeszcze ; moje obejście było takie, jakie przystoi uczciwemu człowiekowi. Gdyby mój przełożony generał widział mię tutaj, buchnąłby mi w twarz śmiechem. Ale mimo tego mam słuszość, postąpiłem sobie szlachetnie.

W rzeczy samej jest to ciekawem, jak robi się człowiekowi głupio wobec takiej czystej, dziecięcej niewinności. I odrazu cała przeszłość stanęła mi przed oczyma, zdeptałem ją nogami i cisnąłem jej w twarz krwawe obelgi. — Rotmistrzu, — zawołałem do siebie w myśli, — zacznasz teraz nowe życie, życie niewinne, szczęśliwe i cnotliwe, życie, któregoś właściwie nie zasłużył. Rozumiesz rotmistrzu.

Gdybym nie przysiągł, kochany czytelniku, że będę szczerym, zamilknąłbym najprawdopodobniej o tej okoliczności, że w tej chwili poczułem straszne łechtanie w nosie. Chciałem się powstrzymać, ale prawa natury są nieubłagane. Nagle zatrzymał się oddech, czułem, że nadludzka

siła skrzywiła mi twarz, że dziurki nosowe się rozwarły, że oczy się przymknęły i nim się opamiętałem, kichnąłem z tak niesłychaną siłą, że flaszeczka z wodą melisową, niech mi to Bóg zapomni, pękła na drobne kawałeczki. Z łóżka rozległ się cichy krzyk i wnet potem najczystszy, najserdeczniejszy śmiech, jaki tylko można sobie wyobrazić. Potem odezwał się miły, naiwny głosik:

— Czy ci co brakuje... Edwardzie?

To słowo „Edwardzie” dodała po chwili i tak cicho, iż ledwie słyszałem.

— Nieprawda me serce, że jestem sobie dobrze śmieszny? I masz zupełne prawo śmiać się ze mnie. Czegoż chcesz? Przepędzam noc, że tak powiem na świeżem powietrzu i dlatego muszę znosić tegoż skutki.

— Wcale nie jesteś śmieszny; ale ty się przeziębisz.

I na nowo śmiać się zaczęła.

— Złą jesteś!

— Okrutną chcesz powiedzieć. I miał-

byś słuszność, gdybym ci pozwoliła chorować...

I wymówiła to ze wzruszającym powabem. W jej słowach było nieco wstydu i delikatności, nieco lekkiego żartu i wstydliwego powściągnięcia się; a wszystko to nie da się określić, ale już wystarczyło, by mię zupełnie oburzyć.

— Ach, nie gniewaj się, Edwardzie, — szeptała półgłosem. — Nieprawda, że mi przebaczysz?... Ty się pewnie nie gniewasz na mnie? Mój kochany przyjacielu, mój... mężu...

*

* *

Mój Boże, ileż to razy przypominaliśmy sobie przy kominku owe chwile. Ach, one już daleko, — daleko w mgle przeszłości!



Głucha wrzawa.



Każdego razu, gdy odwiedzam Paryż, co niestety bardzo rzadko się zdarza, deszcz leje strumieniem. Nic nie pomaga, że zmieniam w ostatniej chwili poprzód oznaczoną godzinę odjazdu, że się zatrzymuję po drodze, że podróżuję w nocy i tysiącnych używam sposobów, aby uniknąć niepogody. Na dziesięć mil przed Paryżem niebo się chmurzy a wysiadam przy największej powodzi.

Podczas ostatniej mojej podróży stałem więc, jak zwykle, na ulicy, obok posługacza, który mi niósł kuferek, i pełen rozpaczy kiwałem na wszystkich fiakrów przejeżdżających pospiesznym kłusem z powodu pluskającego deszczu. Przez dziesięć

minut tak mokłem, aż nareszcie jeden woźnica osłonięty kołnierzem od płaszcza, spostrzegł ludzkie ruchy i zatrzymał konie. Jednym susem byłem przy powozie, z pewną gwałtownością otworzyłem drzwiczki i wskoczyłem do środka.

Nieszczęściem w tej samej chwili, drugi pan, który się znajdował w podobnem jak ja położeniu, otworzył drzwiczki po drugiej stronie i wskoczył tak samo jak ja do powozu. Z tego naturalnie wynikło uderzenie się i krótka, dosadna wymiana słów:

— Bodaj pana dyabli wzięli! krzyknął mój rywal, robiąc przytem ruch, by się dalej wepchnąć.

Chciałem mu właśnie odpowiedzieć, i to dobitnie, gdyż jestem z południa i dość gorąco-krwisty, gdy wtem spotkały się nasze oczy. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę jak dwa lwy nad jednym baranem i nagle wybuchnęliśmy głośnym śmiechem, Tym zagniewanym panem był Oskar W. mój dobry, jedyny Oskar, którego nie widziałem od dziesięciu lat, Oskar, którego tak bardzo lubię... Mówię wam, śliczny

młodzieniec, z którym grałem w piłki itd. Ach poczciwy Oskar!...

Uściskaliśmy się. Wóznica, który na nas patrzył przez szybę, wstrząsł ramionami i nie wiedział, co mówić. Teraz należało zaspokoić posługaczów, którzy przemoknięci czekali z kuferkami na plecach, każdy przy swoich drzwiczkach od powozu. Kazaliśmy pakunki złożyć na powozie i jechać do hotelu Louvre, dokąd mię chciał odprowadzić Oskar.

— Tyś zatem też w podróży, rzekłem do starego przyjaciela, gdy przeminęła pierwsza burza. Nie mieszkasz więc w Paryżu?

— Mieszkam tu, o ile możliwości jak najmniej, i tak jak mnie widzisz, przyjeżdżam z Roches, starej, małej dziury, którą odziedziczyłem po moim ojcu. Przepędzam tam większą część mego życia. O! nie jest to żaden zamek. Jest po wiejsku, po chłopsku... Ale lubię tak i nie mogę nic odmienić. Naokoło świeżo zielony krajobraz; pięćdziesiąt kroków od domu, wśród wspaniałych drzew, płynie przeźroczysty,

milutki strumyczek, w głębi młyn i obszer-
na dolina; od przodu wieżyczka z wietrz-
nikiem; kwiaty na oknie, a w domu szczę-
ście. Widzisz więc, że mogę być dość za-
adowolony. Moja żona piecze wyborne ko-
łaczka, które mi bardzo smakują a niszczą
delikatne jej ręce... Powiedziałem ci prze-
cie, że jestem żonaty? Dalibóg, mój kochany,
znalazłem anioła — i wtedy myślałem
całkiem słusznie, że gdy go opuszczę, to
drugiego nie znajdę tak prędko. Uczyni-
łem bardzo roztropnie; ale przedstawię
cię mojej żonie. Pokażę ci moją małą sie-
dzibę...

— Kiedyż mnie odwiedzisz?... Nie ma
stąd nawet trzech godzin drogi... Odległość
jakiej potrzeba na wypalenie dwóch cy-
gar. Niechże tak będzie, jutro w południe
wrócę do domu i każę ci pokój przygo-
tować. Daj mi notes! Zapiszę ci mój adres.

Powiedział to wszystko z taką serdecz-
nością, że nie mogłem oprzeć jego
prosbom. Obiecałem tam przyjechać w
jak najkrótszym czasie

Ponieważ Paryż był dość opustoszałym,

a wspomnienie o starym przyjacielu nie dawało mi spokoju, opanowała mię nagle trzy czy cztery dni później niepohamowana chęć spojrzenia zbliska na szczęście małżeńskie Oskara, i zobaczenia na własne oczy tego strumyka, tego młyna, tej wieżyczki, w których bliskości jest się tak szczęśliwym

Przyjechałem do Roches około szóstej godziny wieczorem i zaraz na pierwszy rzut oka byłem zachwycony. Mieszkanie Oskara był to mały zameczek w stylu Ludwika XV., otoczony drzewami, nie symetryczny, jaskrawy, ale swojski i malowniczy. Od wieku nie zmieniano najmniejszej drobnostki i wszystko od czarno malowanych gzymsów aż do fantastycznego wietrznika, od okien z maleńkimi szybami aż do misternego herbu, który górował nad drzwiami, — wszystko odnosiło się do owej epoki. Na grubych dachówkach nieco zapadłego dachu rozpościerały swe gałęzie z przyjemną ocieężałością stare, rozłożyste kasztany. Dzikie wino i pnące się róże bujały bez przeszkody między o-

kiennicami, obejmowały okna, wspinały się do wrębów dachu i opuszczały z rynnew wiązki kwiatów, które się kołysały od wiatru. Z trudnością tylko można było zobaczyć błękit nieba z pomiędzy tych zakończeń dachu, które stopniowo przybudowano do głównego dachu, i z pomiędzy tej wielkiej ilości liścia.

Pierwszą osobą jaką spotkałem, był mój przyjaciel Oskar. Od stóp do głowy biało ubrany, w słomianym kapeluszu na głowie, siedział na wielkim kamieniu, który ściśle przylegał do domu. Oskar zdawał się być bardzo zatrudnionym, oglądał gorliwie piękny melon, który mu podał ogrodnik. Ledwo mię tylko ujrzał, poskoczył i uściskał mi rękę tak wesoło, swobodnie i serdecznie, że pomyślałem w duchu: „W istocie, prawdę powiedział, on jest szczęśliwy!” Znalazłem go takim samym, jakim go znałem chłopcem; wesoły, nieco naiwny, ale dobry i poczciwy.

— Piotrze, rzekł do ogrodnika, zanieś kuferek tego pana do pokoju na dole. Gdy ogrodnik ruszał się powoli, i z wi-

docznym wysiłkiem usiłował go podnieść, chwycił Oskar kuferek oboma rękami i jednym zamachem zarzucił go na plecy biedakowi, pod którym się nogi ugiwały.

— Stary inwalida! zawołał Oskar z serdecznym śmiechem; ale teraz, kochany przyjacielu przedstawię cię mojej królowej...

— Ale gdzie moja żona?

Pobiegł do dzwonka i pociągnął dwa razy. Zaraz można było zobaczyć w oknie suteryn tęgą, czerwoną kucharkę z wysoko podkasanymi rękawami, a nieco na boku służącego, który obcierał talerze. Czy sobie Oskar dobrał tych dzielnych ludzi? nie wiem; ale ich postawy i oblicza uzupełniały obraz tak wybornie, żem się nie mógł powstrzymać od śmiechu.

— Gdzie jest moja żona, zapytał Oskar, a gdy nie prędko otrzymał odpowiedź:

— Maryo! zawołał, Maryo! oto Jerzy, nasz przyjaciel.

W małym a wąskim okienku pierwszego piętra, które więcej niż inne było ubrane kwiatami, ukazała się młoda kobieta, jasna jak pole pszeniczne. Zarzu-

ciła na siebie białą mantylkę, której właściwego kroju nie mógłbym tak prędko określić. Jedną ręką przyciskała do siebie ten fałdzisty płaszczyk, podczas gdy drugą przytrzymywała napół rozpuszczone włosy. Skoro mię tylko zobaczyła, poczerwieniała bardzo, bez wątpienia zawstydyziła się, że ją zaskoczono tak wśród toalety. Cofnęła się szybko napowrót z tyle niezgrabnym, ile wdzięcznym ruchem. To zjawisko bardzo mi utkwilo w pamięci.

Zdawało mi się, jakbym był nagle przeniesionym do królestwa najprzyjemniejszych marzeń. Gdym pakował kuferek, sądziłem, iż znajdę mego przyjaciela, Oskara, w jednym z tych pięknych i czystych domków z zielonemi okienicami i pozłaczanymi konduktorami, w których się tak lubuje Paryżanin, mieszkający na wsi, a teraz ujrzałem się tu w idealnej mieszance, złożonej z prawdziwego, napół rozpadłego muru, który się krył między kwiatami, z stuletnich drzew i z fantastycznych, zardzewiałych krat. Stałem wśród jednego z pięknych rysunków wybornego Morina,

i oniemiały, zachwycony, czekałem kilka chwil nieruchomo, z oczyma utkwionemi w wąskie okienko, gdzie mi się ukazało piękne dziewczę.

— Nazywam ją małą królową, rzekł Oskar, opierając swą rękę na mojem ramieniu.

— To jest moja żona. Chodź tędy! Spotkamy tu stryja, który łowi ryby na wędkę i dwóch innych mężczyzn, którzy się przechadzają; dobrzy ludzie, tylko nie pojmują tak dobrze życia wiejskiego jak ja i noszą różowe pończochy i balowe kamaszki.

— Ale co cię to obchodzi, nieprawdaż? Czy chcesz pantofle, kochany przyjacielu? Chcesz może słomiany kapelusz? Spodziewam się, iż masz z sobą płócienne ubranie. Madairą cię, teraz nie poczęstuję, gdyż za kilka minut pójdziemy do obiadu. Ach, mój najdroższy — właśnie przybyłeś w samą porę, dziś wieczór będziemy próbować pierwsze melony w tym sezonie.

— Niestety, nie jadam takowych, ale lubię się patrzeć jak drudzy jedzą.

— Niech i tak będzie! Wynagrodzę ci to, bo ci dam flaszkę starej pomardy. Mówiąc między nami, takiego wina nie daję bądź komu, to wyborne wino, które mi mój dobry ojciec na łożu śmiertelnem polecił. I to całkiem seryo, mówił dalej Oskar, jeszcze rano tego dnia, w którym nas opuścił... biedak, zaledwie mógł oddychać, oczy jego były przymknięte, głowa opuszczona leżała na poduszkach. Siedziałem obok łóżka, trzymając go za rękę, gdy wtem uczułem, jak lekko się poruszył; jego oczy otworzyły się nieco, uśmiechnął się i wyszeptał tym słabym, powolnym głosem starców, kończących żywot doczesny:

— Ta pomarda... na lewo, od tyłu... Ty wiesz mój chłopcze... tylko dla przyjaciół... Uścisnął mi jeszcze raz rękę i jakby wysilony, przymknął oczy. Tylko po ledwie spostrzegalnym ruchu jego warg poznałem, że się jeszcze uśmiechał w duchu.

— Chodź do piwnicy! rzekł Oskar po krótkiej chwili... na lewo od tyłu... Potrzymasz latarkę.

Gdyśmy powrócili, odezwał się silnie donośny głos dzwonka domowego, a gromada przestraszonych ptaków zleciała z kasztanów. To oznaczało porę obiadową. Wszyscy goście zgromadzili się w ogrodzie. Oskar przedstawił mię w swój swobodny sposób i podałem ramię pani do mu, by ją poprowadzić do jadalni, gdzie na nas czekała dymiąca polewka.

Teraz przypatrzyłem się bliżej żonie mego przyjaciela i przekonałem się, że pierwsze wrażenie nie omyliło mię. Ona była w istocie małym aniołem, a co więcej, aniołem, który na wskrós stał się kobietą. Była delikatna i smukła, jak młode dziewczątko. Jej milutki głosik dźwięczał harmonijnie, jak śpiew słowika, i miał przytem jakiś nieokreślony akcent, który nie należał wprawdzie do żadnego prowincjonalizmu, ale każdemu jej słówku nadawał niezrównaną słodycz. Nadto posiadała odrębny sposób mówienia: czy to dziecinną czy zalotną nawyczką, zawsze przy końcu mowy zwracała oczy na swego męża, jakby czekała od niego potwierdzenia. Czerwie-

niła się co chwilka, ale przytem jej uśmiech był tak delikatny, jej zęby tak białe, że się wydawało, jakby sobie drwiła sama z siebie, a nieco też i z drugich. Osobliwsza kobietka! Do tego należała jeszcze bardzo gustowna, ale przecież trochę dziwna, jeśli nie wyzywająca toaleta, która mimo to była bardzo do twarzy tej małej królowej, co sama była tak zadziwiająca. Jej piękne jasne włosy przypadkowo, przynajmniej na pozór, pokręcone, były dość wysoko spięte na głowie nieco na bok przechylnym stalowym grzebieniem; biała muslinowa suknia, ubrana szerokimi falbanami, była wycięta w czworobok; krótka spódniczka podniosła się wysoko z obu stron; całość wionęła wytwornym i delikatnym smakiem XVIII. stulecia. Aniołek był bez wątpienia trochę zalotny, ale na swój sposób, a ten sposób był bardzo miły. Zaledwieśmy usiedli, rzucił Oskar na swoją małą królowę spojrzenie przelotne, ale tak pełne szczęścia i... miłości — dlaczego miałbym o tem zamilczać? — że mię aż przebiegł jakiś

dreszcz zazdrości, zadziwienia, a może podziwu.

Wyjął z koszyka, który stał na stole, napół rozkwitłą czerwoną różę i podsunął ją z uśmiechem swej żonie: „Do twych włosów, łaskawa pani” rzekł.

Jasne dziecko zaczerwieniło się gwałtownie, wzięło kwiatek i wpięło bardzo szybko i z wielką zręcznością we włosy, w stósownem miejscu u góry po lewej stronie i bardzo wesoło pytała wśród serdecznego śmiechu, zwracając się po kolei do każdego z nas:

— Czy tak dobrze?

Potem posłała swemu mężowi, końcami palców serdecznego całusa, jakby to zrobiło dwunastoletnie dziewczę, i zanurzyła swobodnie swą łyżkę w rosole, podczas gdy mały palec nieco wyprostowała.

Inni goście mniej byli uwagi godnymi. Śmiali się przy tych wszystkich dzieciństwach z wielką uprzejmością, ale wśród tej miłej swobody nie zdawali się być całkiem na swem miejscu. Szczególnie nie podobał mi się stryj, ten rybak w nie-

nagannie białej kamizelce, niebieskiej krawatce, z podobną do wachlarza brodą i z wytrzeszczonemi jak migdały oczyma. Wymawiał *r* tocząco i *s* sycząco jak prowincjonalny aktor. Pokrajał swój chleb na małe kawałeczki i podczas mowy gryzł te odrobiny.

Zdawało mi się, że przy tym sposobie przeżuwania chleba nie bez wpływu był zamiar pokazania wielkiego pierścienia, który nosił na palcu. Raz czy dwa razy złapałem stryja, jak melancholijnie zwracał spojrzenie na panią domu.

Początkowo nie przykładałem do tego żadnej wagi, zwłaszcza, że mię odwiodła od tego nadzwyczajna wesołość Oskara; powoli jednak wydawało mi się, że człowiek ten wszelkimi sposobami stara się ciągle na siebie zwracać uwagę małej królowej...

Ta odpowiadała mu z całą swobodą, nie okazując w swych ruchach żadnego pomieszania, ani wymuszoności.

Bez wątpienia, było to złudzenie.

Czyś jeszcze nie zauważył tego, kochany

czytelniku, gdyś się widział nagle przeniesionym w obce otoczenie, jak niektóre małe szczegóły, które są dla całego świata obojętne, u ciebie na znaczeniu zyskiwały? Pierwsze wrażenie opiera się na mnóstwie pozornych drobnostek, które ci natychmiast w oczy wpadają. Jedna plama na pościeli, jeden gwóźdź w ścianie, jeden ruch twarzy twego sąsiada, wbija ci się w twój umysł, zagnieżdża się tam, zyskuje na znaczeniu, i mimowoli łączą się wszystkie inne twoje spostrzeżenia, które później robisz co do tej plamy, tego gwóźdźka, tego giestu.

Uważaj na to, kochany czytelniku, a zobaczysz, iż każde zdanie, jakie możesz mieć o jakimś czynie, osobie lub rzeczy, bardzo się zmieniło przez przypomnienie tego małego *nic*, które ci przy pierwszym wejrzeniu w oko wpadło. Nie ma prawie żadnej młodej dziewczyny, któraby, opanowana takim pierwszym wrażeniem, nie odpowiedziała jednemu lub dwom konkurentom z powodu za szerokiej kamizelki, źle leżącej krawatki, z powodu kichania

nie w porę, niedorzecznego śmiania się, albo ostro zakończonych trzewików.

Sami nie chcemy się przyznać, że takie śmieszności służą za podstawę zdania, jakie o kimś mamy i musimy bardzo uważnie szukać, by znaleźć w sobie małe, zapomniane, nie stwierdzone zarodki.

Przypominam sobie całkiem dokładnie, że przy pierwszej wizycie, jaką miałem zaszczyt zrobić pani M., spostrzegłem, że jeden z jej zębów, pierwszy ząb policzkowy, jeszcze go teraz widzę, cały był niebieski, obrzydliwie ciemno-niebieski. Widziałem tego małego niebieskiego potwora tylko bardzo przelotnie, gdyż zadawała sobie wszelkich starań, by go ukryć; ale moje odkrycie już mi z głowy wyjść nie mogło. Wkrótce potem zauważyłem, że pani M. okropnie się krzywiła, przy ukrywaniu swego zęba; że przy obiedzie jadła tylko całkiem małe kąski, aby uniknąć nerwowej wrażliwości z powodu małego potwora, w ogóle tłómaczyłem sobie wszystkie moralne i fizyczne przesady pani M. tą nieznaczną przykrością

i bez mej wiedzy przedstawił mi ten niebieski ząb hrabinę tak dokładnie, że jeszcze teraz, choć już dawno tenże zastąpiony jest innym dwa razy tak wielkim i lśniaco białym, zawsze, gdy pani M. otwiera usta, wzrokiem szukam małego potwora.

Ale wróćmy do naszego opowiadania...

— Wśród tego małżeńskiego szczęścia, które mi się w tak ślicznych ramach przedstawiło, wobec mego dzielnego Oskara, który był tak dobrym, pełnym ufności i tak zakochanym w małych, starożytnie ubranych, bardzo wdzięcznych i naiwnych aniołkach, wzbudzała we mnie odrazę wymuskana i ładna, ale bez wyrazu głowa stryja w białej kamizelce. Ta głowa zajęła całą moją uwagę, jak plama na pościeli, o której właśnie wspominałem, jak niebieskawy ząb hrabiny; i mimowoli nie spuszczałem z oka rybaka, podczas gdy on srebrną klingą noża przekrawywał kawałki tego owocu, który chętnie widzę na talerzu innych, ale na swoim nie znoszę...

Po obiedzie, który trwał nieskończenie długo, udaliśmy się do ogrodu, gdzie podano kawę. Wygodnie rozparłszy się, paliliśmy cygara. Naokoło panowała najgłębsza cisza; słychać było brzęczenie much i komarów, a na przeźroczystym błękitnie nieba zdawały się nieruchomo zasypiać podłużne fioletowe chmurki.

Oskar pokazał z wyrazem szczęścia ów (często wspominany) młyn, cichą dolinę i nieco na boku ulubiony strumyk, w którym przez pnie trzcinowe przebijało się zachodzące słońce.

Tymczasem mała królowa, która bardzo zręcznie kręciła się na wysokich korkach, uwijała się przy filiżankach, jak dziewczynka bawiąca się lalkami, i nalewała dymiącą kawę z tysiącnymi, koniecznymi a wdzięcznymi ruchami. Zapach mokki wybornej łączył się z zapachem kwiatów, siana i drzew.

Gdy ukończyła nalewanie, usiadła obok swego męża tak blisko, że jej suknia do połowy przykryła mego przyjaciela.

Następnie wyjęła mu bez ceremonii cy-

garo z ust, trzymała je zdala od siebie z wyrazem wstrętu i wyprostowawszy mały palec, strąciła na piasek biały popiół. Potem zaśmiała się głośno i wetknęła napowrót cygaro mężowi w usta.

Scena była nader przyjemna. Oskar bez wątpienia był do tego przyzwyczajony, gdyż go to wcale niespodzianie nie zaskoczyło. Położył swą rękę na plecymiętemu stworzeniu, jak to się zwykle czyni dziecku i całując ją w czoło, rzekł:

— Dziękuję ci...

— Ale ja też dostanę jednego canarda*), mówiła cicho młoda pani, przycisnąwszy swą głowę do ramienia męża...

Musiałem się zaśmiać. Tak wiele filuteryi i dziecięcego wdzięku było w tym krótkim, półgłośno wymówionym frazesie. Sam nie wiem, dlaczego popatrzyłem się w tej chwili na stryja, który nieco stał na uboczu i w milczeniu palił cygaro. Wydał mi się trochę bladym. Trzy, czy cztery razy wypuścił z ust gwałtownie

*) Tak się nazywa w codziennej mowie francuskiej kawałek cukru, zamaczany w czarnej kawie.

kłęby dymu, zerwał się potem nagle pod widocznym wpływem jakiegoś nieprzyjemnego wzruszenia umysłu i zniknął za drzewami.

— Co się stało naszemu stryjowi? — rzekł Oskar ze współczuciem. — Co za mucha usiadła mu na nosie?

— Nie wiem, — odpowiedziała młoda królowa z wielką naturalnością, może ma ochotę ryby łowić albo coś podobnego.

I rozmowa toczyła się dalej.

Zaczęło się ściemniać. Przy obiedzie, jak mówiłem, siedzieliśmy długo. Mogła być dziewiąta godzina. Stryj powrócił i zajął swe dawne miejsce; ale od tej chwili zdawało mi się, jakoby jakiś przymus, jakiś dziwny chłód powstał w towarzystwie. Rozmowa, która się przedtem tak żywo toczyła, ustawała coraz bardziej i wlokła się bardzo ciężko mimo wszelkich moich usiłowań ożywienia. Sam nie czułem się w swoim sosie; najczarniejsze myśli mnie opanowały. W nagłym odejściu stryja, w jego zblednięciu i niepewnych ruchach, upatrywałem wyraz gwał-

townego wzruszenia umysłu, nad którem nie mógł zapanować. Ale jak to być mogło, że ta śliczna, piękna istota o ostrem rozumem wejrzeniu nic z tego wszystkiego nie rozumiała, skoro przecież ja mogłem wszystko pojąć?

Oskar jakkolwiek był pełen ufności, mógł jednak zauważyć, że zniknięcie stryja równocześnie z całusem, jaki dał swej żonie, były z sobą w związku. Albo ta para małżonków jest ślepa, albo udaje, że nie widzi, albo ja sam jestem przedmiotem grubego złudzenia?... Cokolwiek być mogło, zaprzestano się bawić. Pani domu — szczególny objaw — wydawała się poważną i zamyśloną, a Oskar też wiercił się na swem krześle, jak człowiek, nie mający swego zwykłego spokoju umysłu.

Co się tu stać mogło?

Wkrótce potem usłyszeliśmy dziesiątą, bijącą na zegarze w salonie. Oskar wstał nagle i rzekł:

— Moi przyjaciele, wiecie, że na wsi panuje niezaprzeczona swoboda; darujecie

zatem, że odejdę. Jestem dziś trochę rozstrojony.

— Jerzy — zwrócił się do mnie — zaprowadzę cię do twego pokoju na parterze. Spodziewam się, iż ci tam będzie wygodnie!

Wszyscy wstali w milczeniu i życząc sobie z pewnym przymusem dobrej nocy, udali się do swych pokoi. Prawdę powiedziawszy może za wcześnie układano się do snu u mego przyjaciela. Nie miałem najmniejszej ochoty do spania. Rozglądałem się więc nieco po moim pokoju, który był wcale przyjemny. Ściany obite starą tkaniną w desenie i ujęte w szare drewniane ramy; łóżko, osłonięte ciężkimi rypsowemi frankami, było do połowy zakryte i rozszerzało woń świeżej bielizny, zapraszającej na miły spoczynek, na stole, prawdziwem cacku z czasów Ludwika XVI., leżało kilka książek, które sam Oskar prawdopodobnie wybrał dla mnie i tam położył. Takie staranie bardzo cieszy i całkiem naturalnie zwróciłem myśli na dobrego chłopca, na szczególną scenę w ogrodzie, na troski i cierpienia,

które się tu może ukrywały pod pozorem szczęścia.

Byłem tego wieczoru po prostu nie w humorze; żałowałem biednego przyjaciela, czułem się wzruszonym, i zadumany, wyglądałem przez otwarte okno. Księżyc właśnie zeszedł, niebo błyszczało w przeźroczej czystości, a silna woń dawała się czuć. W ciemniejszych częściach ogrodu, pomiędzy wysokimi drzewami spostrzegłem świętojańskie robaczki, które świeciły w trawie, a w krzakach, tajemniczo oświeconych przez księżyc, malowały się szczególne kształty fantastycznych potworów i bladych postaci, które się migały w ciszy nocnej. Szczególnie zwróconą była moja uwaga na mały dach, który w odległości około pięćdziesięciu kroków od mego pokoju, z wietrznikiem ponad płot wystawał. Nie mogłem w ciemności na tej szczególniejszego rodzaju budowie rozróżnić ani okien, ani drzwi. Może to był stary gołębnik, mauzoleum, może zaniebdana altanka? Nie wiem, ale ten mały dach z okrągłym otworem był bardzo ele-

gancki i gustowny. Czy to przypadek, czy jakiś zamiłowany sztukmistrz otoczył tę wieżyczkę wijącemi się roślinami i kwiatami i zarazem osłonił ją z taką zalotnością, że zdawało się, iż tylko dlatego się kryje, aby zwrócić na siebie uwagę.

Zastanawiałem się nad różnemi rzeczami, gdy nagle usłyszałem cichy szelest na ścieżce między drzewami. I spojrzałem w tę stronę, z której szelest pochodził i spostrzegłem — za prawdę, że mię na chwilę strach opanował, — spostrzegłem postać białą odzianą, która spieszyła szybko i tajemniczo. Na skrócie ścieżki księżyc oświecił tę postać. Nie mogłem już teraz dłużej powątpiewać: to była żona mojego przyjaciela. Jej chód nie miał teraz tej filuternej lekkości, którą uważałem przedtem; owszem zdradzał wyraźnie żywe pomieszczenie i wzruszenie. Chciałem odpędzić to straszne podejrzenie, które nagle powstało w mej duszy...

— Nie — rzekłem do siebie samego; to być nie może.

Prawdopodobnie zostawiła na którejś

z ławek wachlarz, lub robótkę... Ale zamiast skierować się ku ławkom, które widziałem po prawej stronie, zwróciła się młoda pani na lewo i znikła wnet w cień budynku, gdzie stała tajemnicza wieżyczka. Serce mi się ścisnęło.

— Gdzie idzie, nieszczęsna! — zawołałem w duchu. — Przynajmniej niech się nie dowie, iż została spostrzeżoną.

Szybko zgasilem światło; chciałem zamknąć okno i położyć się, aby niczego więcej nie widzieć, ale niepowściągnięta ciekawość znów mię popchnęła do okna. Gdy tam kilka minut stałem, usłyszałem wyraźnie kroki, które się nieregularnie i z wahaniem w zwirze odzywały. Z początku nikogo nie widziałem, ale nie mogłem wątpić, że to były kroki mężczyzny... Wkrótce też poznałem, iż się nie myliłem; podłużna sylwetka stryja okazała się w całym świetle na tle ciemnego krzaku. Chciałbym przemocą powstrzymać tego nędznika, gdyż jego zamiar był widoczny. On zwrócił swe kroki ku drzewom, gdzie

znikła mała królowa. Chciałem na niego zawołać:

— Jesteś pan nędznikiem! nie pójdziesz ani kroku dalej.

Jednak ściśle rzecz wzięwszy, czyż miałem do tego jakiegokolwiek prawo?... Milczałem więc, ale kaszlałem tak silnie, że musiał mnie usłyszeć.

Nagle powstrzymał się w szybkim chodzie i rozglądał się na wszystkie strony z widoczną trwogą; ale potem pobiegł jak szalony ku wieżycze.

Byłem w rozpacz. Co miałem robić?... Czy uwiadomić przyjaciela, mego towarzysza młodości? Zapewne... Ale wstydzilem się zaszczepić w duszy tego pocziwego człowieka żądło rozpacz i tak wielki skandal na świat wyprowadzić, nie miałem dość odwagi burzyć szczęście tego pocziwego człowieka.

Chciałem sam siebie przekonać i zadać kłam temu, co widziałem, gdy nagle drzwi domu otwarły się z łoskotem, a Oskar, Oskar sam widocznie wzburzony, z poburzonymi włosami i w szlafroku chciał prze-

biegnąć popod moje okna. Więcej biegł niż szedł, a trwoga jego serca dość wyraźnie się przebijała w dziwacznych ruchach. Wiedział wszystko. Czułem, że katastrofa jest nieunikniona. To więc jest to szczęście! To jest ten gorzki napój, jaki ten piękny puchar zawierał!

Wszystkie te myśli jak błyskawica przeleciały mi przez głowę. Należało mi przedewszystkiem powstrzymać wybuch przy otwartem starciu się. Prawie bezprzytomny i nie namyśliwszy się, co mu powiem, zawołałem krótko i stanowczo:

— Oskarze, mój przyjacielu! Chodź tu, chcę z tobą pomówić.

Staął jak wryty. Był strasznie blady i z piekielnym śmiechem rzekł:

— Teraz nie mam czasu! Później!

— Oskarze musisz, zaklinam cię... Bądź przekonany, że się mylisz...

Przy tych słowach zaśmiał się straszliwie.

— Ja się mylę, głupiś! Ja się mylę?...

I jak szalony chciał się rzucić ku wieżycie. Ale złapałem go za koniec szlaf-

roka i powstrzymałem go żelaznymi rękami.

— Nie idź tam mój przyjacielu! błagam cię na klęczkach!

Zamiast odpowiedzi uderzył mię silnie pięścią w ramię i zawołał:

— Człeku, czy cię dyabeł opętał?

— A ja ci mówię Oskarze, że nie możesz tam iść teraz pod żadnym warunkiem, mówiłem głosem, który nie znosił oporu.

— Tak? To *więc tam ktoś jest?* Czyż nie mogłeś tego odrazu powiedzieć, ty niedołęgo? Ach, te *przekłête melony...* przekłête melony! Muszę więc czekać...

I owinąwszy się drżącą ręką szlafrokiem, chodził zniecierpliwiony tam i napowrót...

Moja żona wybiera się na bal.



Ona. Ty jesteś głodny? Tak, toby wszystko dobrze się składało! Brawo! (wołając) Maryniu, proszę powiedzieć w kuchni, że pan chce jeść wcześniej. I aby nic nie opuszczono z wiadomej rzeczy! A nie zapomnij o cytrynie!

On. Ach! Tajemnice?

Ona. Tak mój najdroższy. Mam dla ciebie małą niespodziankę, i sądzę, że ci sprawi przyjemność.

On. Niespodzianka? Cóż takiego?

Ona. Ba, rzeczywiście niespodzianka! Jakiś ty ciekawy! Oczy ci się już świecą z oczekiwania! Ale ja nic nie powiem.

On. (Żartem). Moje dziecko, ja nie wytrzymam!...

Ona. Więc nie chcę twej cierpliwości dłużej na próbę wystawiać. Dostaniesz dziś na obiad śliczne, świeże ostrygi i... bażanta Czy jestem grzeczną?

On. Ostrygi i bażanta! Jesteś aniołem! (całuje ją) aniołem! (Do siebie). Co u diabła dzieje się z moją żoną? (Głośno) Czy nie miałaś przez dzień żadnych odwiedzin?

Ona. Dziś rano była tu Ernestyna; ale przyszła na krótko. Wypędziła z domu swoją pokojówkę. Czy uważasz to za możebne, że przychwycono wczoraj tę dziewczynę, jak po ulicy chodziła w męskim ubiorze i do tego jeszcze w ubiorze swego pana. To przecież zanadto!

On. To się nazywa osoba zaufania! Więcej nie było nikogo?

Ona. Nie, mężulku... (z nagłym wykrzykiem) Ach jakżem roztargniona! Byłabym zapomniała, pani Lyr też mnie odwiedziła.

On. Niech ją Pan Bóg błogosławi! Czy ona zawsze śmieje się tak krzywo, aby ukryć ząb czarny...

Ona. Jesteś bardzo złośliwy, a ona biedna tak cię lubi! Rzeczywiście bardzo się cieszyłam jej odwiedzinami, przyszła przypomnieć mi... Ale ty będziesz się gniewać.. (całuje go i siada bardzo blisko przy jego boku).

On. Gniewać się! gniewać się! Czy jestem może Turkiem! Prędko! O co chodzi?

Ona. Ty wiesz, że dziś są ostrygi i bażant. Chodźmy do stołu. Nie mogę ci nic powiedzieć, boś już teraz nie w humorze. Nawet już dałam jej prawie do zrozumienia, że nie pójdziemy.

On. (Wznosząc ręce do nieba). Mocny Boże, przeczuwałem to! Niech ją dyabli wezmą razem z jej towarzystwem herbacianem. Co ja zawiniłem kiedy tej kobiecie?

Ona. Ona myśli, że ci robi przyjemność. Taka miła przyjaciółka. Lubię ją z całego serca, gdyż zawsze tylko dobrze mówi o tobie. Gdybyś był ukryty tam w kominie, jak długo ona tu była, musiałbyś się być czerwienić! (On rusza ramionami). — Taki miły ten mąż pani, taki wesół, taki świątły, proszę go koniecznie przyprowadzić. Jest to dla nas bardzo pożądanem mieć go u siebie. — Ja odpowiedziałam: „z pewnością”. Ale wiesz, tak całkiem lekko... Bo mnie tam nie ciągnie. Tak bardzo się nie bawią u pani Lyr. Tam przychodzi wielu poważnych i wiele znaczących ludzi.. Ja wiem dobrze, że między

nimi są wpływowe osobistości, któreby mogły nam być użytecznymi; ale cóż mię to może obchodzić! Chodź do obiadu! Wiesz, mieliśmy jeszcze jedną flaszkę wybornej pomardy, — to właśnie dobre do bażanta. Ach! Ty nie wiesz, jaką mi to uciechę sprawia, widzieć cię jedzącego bażanta. Spożywasz go z wielką godnością i namaszczeniem.. Jesteś smakoszem, kochany mężulku. (Bierze go za ramię). Chodź, kochany przyjacielu; słyszę jak twój pan syn w pokoju jadalnym suwa nogami z niecierpliwości.

On (Namysłając się). Hm!... A kiedy?...

Ona. Kiedy?... Co?...

On. To, zebranie herbaciane...

Ona. Ach! — bal masz na myśli... Ja już więcej o nim nie myślałam... o balu u pani Lyr? Dlaczego mię pytasz, skoro przecież nie idziemy? Chodź prędko! Jedzenie wyiębnie.. Dziś wieczór.

On. (Nagle przystając). Co? To zebranie herbaciane jest balem? A ten bal jest dzisiaj wieczór? Ależ do kaduka, przecież

się nikomu nie przykłada tak pistoletu do piersi! Zaprasza się kilka dni na przód!

Ona. Ona też przysłała nam przed ośmiu dniami zaproszenie, jak się należy. Nie wiem doprawdy, co się stało z kartą. Zapomniałam ci ją pokazać. Daruj więc, kochany mężulku.

On. Ach tak, tyś zapomniała!...

Ona. W istocie jest tak najlepiej. W przeciwnym razie narzekałbyś cały tydzień. Teraz do obiadu!

Siadają do stołu. Obrus biały, noże się lśnią — ostrygi świeże, ślicznie upieczony bażant zionie wybornym zapachem. Młoda kobietka jest pod każdym względem miłą i śmieje się przy każdej sposobności. Pan domu staje się widocznie weselszym i opiera się od czasu do czasu wygodnie w swym fotelu.

On. Ta pomarda jest wyborna. Chcesz trochę żoneczko?

Ona. I owszem. Twoja żonka wypije jeden łyk. (Podsuwa mu z wdzięcznym ruchem swoją lampkę).

On. Patrz! Masz ametystowy pierścionek na palcu; on rzeczywiście bardzo milutki.

Ona. (Trzymając mężowi rękę przed nosem). Milutki. Ale patrz tu, ten kawałek odpada.

On (Całuje żonę w rękę). Gdzież to?

Ona. (Śmieje się). Ty zawsze żartujesz; ale ja mówię na seryo. Popatrzno tu! Tu! widać przecie dobrze. (Przybliżają się więcej ku sobie i nachylają się wspólnie nad pierścieniem, aby lepiej widzieć). Czy zawsze jeszcze nie widzisz? (Pokazuje swym wysmukłym, różanym paluszkiem pewne miejsce na pierścionku). Tu! nieprawdaż?

On. Ach, małeńka perełka... Cóż u licha masz we włosach, moje dziecko? Pachniesz nader przyjemnie! Musisz go posłać do jubilera. Ta perfuma jest rzeczywiście nadzwyczaj delikatną. A loki też ci się nie źle układają.

Ona. (Poprawia przelotnie swą fryzurę). Myślałam sobie, że ci się ta perfuma spodoba. Na twojem miejscu...

On. Cóż więc, mój skarbie? cóżbyś uczyniła na mojem miejscu.

Ona. Całkiem po prostu Dałabym mojej żonie całusa.

On. (Całuje ją). Masz wyborne pomysły. Daj mi jeszcze kawałeczek tego bażanta (kásając z epikurejskiem zadowoleniem). Biedne, małe zwierzątka! One tak miłe, gdy w zbożu biegną po bruzdach, przypominasz sobie, jak często słyszeliśmy ich głos przy zachodzie słońca? Jeszcze trochę sosu... Są chwile, w których poezya życia wiejskiego w przyjemnych marzeniach w umyśle się nam maluje... Gdy pomyślę, że są barbarzyńcy, którzy z bażantami jedzą kapustę! Dziwni ludzie! Ale powiedz (nalewa sobie) czy twoja toaleta w pogotowiu?

Ona. (Z niewinnem zdziwieniem). Jaka toaleta?

On. No, do pani Lyr?

Ona. Na bal? Co za pamięć! Ciągłe więc myślisz o tem? Mój Boże, nie... Prawdziwej balowej toalety nie mam... To znaczy... Mam tę tarlatanową suknię, a zresztą

tak mało potrzeba, aby sporządzić balową toaletę...

On. Ale fryzyer jeszcze nie zamówiony?

Ona. W samej rzeczy, nie jest zamówiony; ale co to szkodzi? Zapewniam cię, że nie przywiązuje żadnego znaczenia do tego balu. Siądziemy sobie przy kominku, będziemy trochę czytać, i pójdziemy wcześniej do łóżka. Zresztą przychodzi mi na myśl, przy odejściu powiedziała mi pani Lyr: „Mamy tego samego fryzyera. Ja go dla pani zamówię”... Jakażem ja roztargniona! Teraz sobie przypominam, że jej żadnej odpowiedzi nie dała. Ale to niedaleko stąd. Mogę Marynię posłać i odmówić go.

On. Skoro już raz zamówiony, ten przekłety perukarz, to niech przyjdzie. Możemy więc pójść na chwilkę do tej pani Lyr... Ale pod jednym warunkiem, że muszę mieć wszystko przygotowane na mojem łóżku, rękawiczki, frak itd. a ty musisz mi zawiązać biały krawat.

Ona. Zgoda (całuje go). Jesteś najlepszym mężem na świecie. Jestem bardzo szczę-

śliwą, moje serduszek, bo widzę, że sam ponosisz ofiarę, aby mi sprawić przyjemność, gdyż ten bal jest mi tak obojętny... Prawdziwie, już o nim wcale nie myślałam.

On. Hm! Więc idę teraz zapalić cygaro, aby ci więcej nie przeszkadzać. O dziesiątej będę z powrotem. Skoro mi wszystko przygotujesz, daj mi znać. W pięciu minutach będę ubrany od głowy do nóg. Adieu.

Ona. Do widzenia.

Wyszedłszy na ulicę, zapala cygaro i zapina swe palety. Dwie całe godziny! Jestto niczem, gdy się jest zatrudnionym; ale gdy się nie ma nic do roboty, to rzecz się ma inaczej.. Na chodniku ślizko; zaczyna deszcz padać. Na szczęście jest kryty chodnik w pobliżu; tam się przechadza zrozpaczony. Gdy już po raz trzydziesty tam i napowrót przeszedł, patrzy na zegarek, jeszcze pięć minut do dziesiątej! Spóźni się! Jak najspieszniej wraca do domu. W podwórzu powóz już zaprzężony. W sypialni dwie lampy bez umber rzucają

jaskrawe światło. Naokoło góry muślinu i wstążek. Staniki, suknie, spódnice, koronki, szarfy, kwiaty, biżuterie, wszystko to tworzy zachwycający chaos. Tam na stole mnóstwo puszek z pomadami, grzebieni, szczotek, szpilek do włosów; sziniony leżą pomięte na czarnej masie, podobnej do dobrej pięści rosharu; obok grzebienie z koralu i szyldkretu, wieńce z pączków róż, gałązki delikatnych kamealii, bukietki jasnoniebieskich fiołków oczekują wyboru sztukmistrza i kaprysu pięknej. A wśród tych błyszczących skarbów, stoi piękna pani z rozpuszczonym włosiem, widocznie w największej niecierpliwości, prawie zła.

On (patrzac na swój zegarek). Cóż, drogie dziecko, jesteś ufryzowana?

Ona (rozgniewana). Pyta mię, czy jestem uczesana? Czyż nie widzisz, że już od półtorej godziny, już od wieku czekam na fryzjera? Czyż nie widzisz, że jestem złą? Wiem, że nie przyjdzie ten nędznik!

On. Potwór.

Ona. Tego mi jeszcze brakuje, byś żarty stroił.

Dzwonią. Drzwi się otwierają a pokojówka woła: „Łaskawa pani, oto on”.

Ona. Tak — to on?

On. To on.

Artysta wchodzi szybkim krokiem i pozdrawia, podkasując rękawy.

Ona. Panie Silvani, jesteś pan nieznośny...

Silvani. Przykro mi bardzo; ale było to czystą niemożebnością. Fryzuję już od trzech godzin; wracam od księżnej Walpole, która dziś wieczór idzie do pana ministra. Ona mię kazała tutaj odwieść w swoim powozie...

— Lizetko, proszę mi dać grzebienie pani i proszę włożyć żelazka do ognia.

Ona. Ależ, panie Silvani, moja pokojówka nie nazywa się Lizetka...

Silvani. Łaskawa pani pojmie, że musiałbym przyjąć kilku sekretarzów więcej, gdybym miał spamiętać imiona wszystkich pokojówek, które mi pomagają. Lizetka jest to piękne imię, i stósowne dla wszystkich takich dziewcząt. Lizetko, toa-

letkę!... Dobrze... Czy ten bal jest galowy?

Ona. Proszę zacząć tymczasem.

Silvani. Niepodobna mi ufryzować łaskawą panią, jeśli nie wiem w jakim celu pani fryzura musi być obmyślona. (Do męża siedzącego w fotelu). Prosiłbym pana, byś z łaski swej usiadł gdzie indziej. Muszę mianowicie od czasu do czasu cofać się, aby módz rozpatrzyć się w sztucznem ułożeniu.

On. Owszem, panie Silvani. Cieszy mię, iż mogę się panu przysłużyć (siada na inne krzesło).

Ona (nagle). Nie tu, drogi przyjacielu! pomniesz mi moją suknię. (Mąż podnosi się i ogląda się za trzeciem krzesłem). Uważaj, bo przydepczesz mi mój ubiór na głowę.

On (obraca się gniewnie). Twój ubiór na głowę! ubiór na głowę!

Ona. Tak, a teraz zrucasz mi pudełeczko ze szpilkami.

Silvani. Prosiłbym łaskawą panią o chwileczkę spokoju.

On. Uspokój się tylko, ja pójde do salonu. Tam przecież palono?

Ona (roztargniona). Ależ drogi mężu, jak można o tem myśleć, by w salonie kazać napalić.

On. No to pójde do mego gabinetu.

Ona. I tam też nie palono. Pocóż było palić w twoim gabinecie? Dziwna myśl... Dosyć wysoko, panie Silvani i nieco niedbale! To robi największy efekt.

Silvani. Czy może łaskawa pani wymaluje małą czarną kreseczkę pod okiem? W ten sposób będę mógł fryzurę uidealizować.

On (niecierpliwie) Maryniu, proszę mi podać paletę i kapelusz. Będę w przedpokoju się przechadzał. (Do siebie). Pani Lyr odpokutuje za to.

Silvani (zapiękając włosy). Pozostawię łaskawej pani ucho o ile możliwości wolnem. Byłoby to zbrodnią takie ucho zakrywać. Łaskawa pani ma ucho całkiem jak księżna Torozowska, którą wczoraj fryzowałem. Lizetko, pudr! Takie uszy jak łaskawej pani należą do rzadkości.

Ona. Co pan mówisz?

Silvani. Czyżby ucho łaskawej pani było tak skromnem i przeszłyśzało się?...

Wreszcie ukończono fryzurę. Silvani posypuje cienką warstwę pachnącego pudru na swoje dzieło, spogląda nań po raz ostatni okiem zadowolonym, żegna się i odchodzi. W przedpokoju spotyka się znów z panem domu, chodzącym tam i napowrót.

Silvani. Stokrotnie proszę o przebaczenie. Proszę przyjąć zapewnienie mego najgłębszego szacunku i poważania.

On (z głębi swego podniesionego kołnierza od paletota) Dobry wieczór.

W kwadrans później zajeżdża powóz. Łaskawa pani już gotowa; jej fryzura trzyma się doskonale, a ona uśmiecha się do siebie w zwierciadle, rozciągając podczas tego długie wąskie rękawiczki.

Panu nie udało się zawiązanie krawatu; urwał też trzy guziki. Ślady najgorszego humoru malują się na jego twarzy.

On. Prędko, Prędko! Powóz już czeka. Jest kwadrans na dwunastą. (Do siebie)

Znów jedna noc stracona. Jedź woźnico!
ulica de la Pepiniere Nro. 224.

Przyjeżdżają. Ulica de la Pepiniere ca-
ła w rozruchu. Policja miejska szybko
się przedziera przez tłumy ludzi; w od-
dali słyszać niewyraźny krzyk i dziwny
łoskot.

Małżonek wychyla głowę z powozu.

On. Co tam takiego Janie?

Jan. Pali się, łaskawy panie. Właśnie
jedzie straż ogniowa.

On. Jedźno spokojnie pod nr. 224

Jan. Jesteśmy prawie tuż koło Nro.
224. Łaskawy panie, tu się właśnie pali

W tej chwili nadchodzi portyer domu
i zbliża się do powozu:

— Wielmożny pan należy zapewne tak
jak inni państwo do gości pani Lyr.

Łaskawa pani jest w rozpacz; ale
niestety pali się właśnie u niej. Żałuje
nieskończenie, ale mimo najszczerzej
chęci nie może państwa przyjąć.

Ona (odchodząc od przytomności). A to
skandal!

On (nucąc melodyę). Okropnie, okro-

pnie... (do woźnicy): Jedź napowrót do domu! A lekko! Padam ze znużenia, (O-piera się znów o poduszki powozu i pod-nosi kołnierz wysoko, Do siebie). Z tem wszystkim zyskałem przy tym wypadku wybornego bażanta!...



E ❁ 406130

❁KSIĘGARNIA❁

ANTYKWARIAT



E ❁ 406130

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX



A

23620

W RZESZOWIE
Z Drukarni J. A. Pelara (H. Czerny)
1888.